Igrzyska

W LUBLINIE

„My uczniowie-sportowcy przybyliśmy z całej Polski, aby w Lublinie, w 650 rocznicę nadania praw miejskich, zmierzyć się w szlachetnej, sportowej walce... Ślubujemy nie szczędzić swych sił i zdolności, swego trudu i poświęcenia dla rozkwitu Polski Ludowej"...

Tak brzmiały słowa ślubowania złożone na stadionie „Startu" przez blisko 3000 dziewcząt i chłopców, reprezentujących swoje szkoły i województwa. 18 lipca zapłonął w Lublinie znicz III Ogólnopolskich Letnich Igrzysk Młodzieży Szkolnej. Przez cztery dni na odświętnie przystrojonych stadionach i boiskach trwały sportowe zmagania.

Dziś znacie już z gazet i radia zwycięzców w poszczególnych konkurencjach. Jest ich kilkudziesięciu, zdolnych, utalentowanych sportowców, godnych następców naszych sławnych olimpijczyków.

Trzecie Igrzyska były imponujące i najokazalsze ze wszystkich. Po raz pierwszy razem z naszymi zawodnikami startowali reprezentanci Bułgarii, NRD i Francji dodając imprezie blasku i atrakcyjności. Jesteśmy przekonani, że III Igrzyska pozostawią na długo niezatarte wrażenia nie tylko w pamięci zawodników, trenerów i nauczycieli, ale również pamiętać będą o nich wszyscy mieszkańcy Lublina i goście z całej Polski.

ZAWODY odbywały się w siedmiu dyscyplinach sportowych: lekkiej atletyce, pływaniu, piłce ręcznej, piłce koszykowej, piłce siatkowej, piłce nożnej i strzelaniu. Rozegrano też po raz pierwszy — harcerski bieg patrolowy. Tym zresztą biegiem rozpoczęły się Igrzyska.

Do finału zakwalifikowało się 8 zespołów chorągwianych, w kategorii dziewcząt oraz w kategorii chłopców.

Pierwsze rozpoczęły bieg harcerki: oto reprezentacje składające się z 6 zawodniczek, stają na linii startu. Równocześnie z gwizdkiem sędziego prysły równe dotąd szeregi. Pierwsza przeszkoda — rozbicie namiotu. Spoglądam na zegarek. Upływa zaledwie 90 sekund a namiot „Lublinianek" już stoi. Prawie równocześnie wykonały to zadanie „Amazonki" z Krościenka, reprezentujące Chorągiew Krakowską. Na trybunach ogromny doping...

Gdy tylko dziewczęta uporały się z namiotami, już biegną co sił na drugą przeszkodę: teraz czołgają się pod bramkami, potem znowu krótki bieg.

Dalsze sprawozdanie: str. 2 — 3

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 60 (1634) Warszawa, piątek, 28 lipca 1967 r. Cena 50 gr

Tratwa jak „Kon – Tiki"...

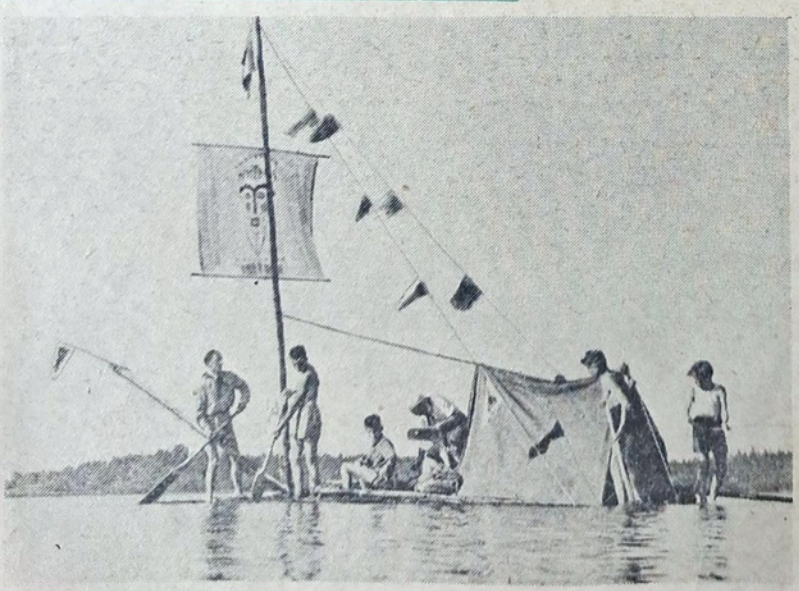

Fot. Jerzy Dąbrowski

...CZYLI JAK SAMA NAZWA WSKAZUJE rzecz nie dla łapserdaków! Tutaj obowiązuje karta pływacka. Jeśli jej nie zdobyłeś, siedź w domu za piecem, i wodę oglądaj z bliska tylko w szklance.

Baza pływa na tratwie zbitej z grubych bali. Załoga: 6 osób, w tym obowiązkowo 1 instruktor harcerski, który skończył kurs ratowników. Namiot służy, jako ochrona przed słońcem. Baza wieczorem dobija do brzegu i tam załoga rozkłada całe obozowisko. Niewielki żagielek pozwala na wyzyskiwanie od czasu do czasu siły wiatru.

Skarb nr 3 odnaleziony!

SKARB nr 3 został wykopany! Szczęśliwą znalazczynią jest BIBIANNA WÓJCICKA z Borowej, powiat Puławy. Gratulujemy!

SKARB był ukryty głęboko pod korzeniami drzewa. A oto zawartość SKARBU: skórzana piłka z dwiema zapasowymi dętkami, kompas, dwa gwizdki, dwie książki, herb Krakowa (ponieważ SKARB pochodzi ze sklepu CSH w Krakowie), sznur harcerski, elektryczny silnik na 4,5 V, zestaw narzędzi do majsterkowania.

CZEKAMY NA MELDUNKI O ODNALEZIENIU NASTĘPNEGO SKARBU NR. 4!

Igrzyska

(Ciąg dalszy ze str. 1)

skoki przez płotki i... półmetek. Tu trzeba trafić piłką z odległości 8 metrów, do koła o średnicy 2 metrów.

Wreszcie piąta przeszkoda — „niesienie rannego". Prowadzą „Lublinianki". Tempo biegu jest szalone.

Na przedostatniej przeszkodzie trzeba nadać i odebrać meldunek, za pomocą alfabetu Morse'a. Czerwone chorągiewki tak szybko migają w rękach „telegrafistek", że z trudem mogę wyłapać poszczególne nadawane litery. Jest to najtrudniejsze zadanie. „Amazonki" są jednak znakomicie wyszkolone, doganiają „Lublinianki" i na ostatniej przeszkodzie (zwinięcie namiotu) — wygrywają w czasie 6 minut, 8 sekund.

W konkurencji chłopców, przed biegiem, zdecydowanym faworytem był zastęp „Nosorożców" z Chorągwi Poznańskiej. Oni to na zawodach półfinałowych mieli najlepszy czas. Jak będzie teraz?

Ruszyli jak burza! Każdy członek zastępu wykonuje z góry przewidzianą czynność. Nikt, nikomu, nie przeszkadza.

Chłopcy z Krościenka nie chcą być gorsi od swych koleżanek. Pokonują przeszkody dosłownie w mgnieniu oka. Wszystko rozstrzyga się na przedostatniej przeszkodzie.

„Spece" z Krościenka lepiej mają opanowany alfabet Morse'a. Ludwik Kordas odczytuje meldunek wprost „z powietrza" — bez pisania na kartce. Wygrywają w rewelacyjnie krótkim czasie: 4 min. 27,6 sek.

Pokonani „Nosorożce" po zakończonym biegu zachowali się szarmancko, gratulując rywalom zwycięstwa.

Harcerski bieg patrolowy był pokazem świetnej sprawności fizycznej i doskonałego opanowania techniki obozowej.

Tekst i foto
ST. BOROWIECKI

● We wszystkich konkurencjach za pierwsze trzy miejsca przyznawano złote, srebrne lub brązowe medale. Łącznie rozdano ich około 700 sztuk.

● W czasie trwania Igrzysk kina wyświetlały specjalnie dla zawodników filmy o tematyce sportowej.

● Wszyscy zawodnicy zakwaterowani byli w „Wiosce Olimpijskiej", czyli w miasteczku studenckim Uniwersytetu Lubelskiego im. Marii Curie-Skłodowskiej.

● Dla zawodników mających wolny od startu czas organizowano wycieczki autobusowe do Kazimierza, Puław, Nałęczowa. Odbywały się również koncerty rozrywkowe, wieczorki zapoznawcze oraz wycieczki do zakładów pracy.

dwaj na krypie

Rozdział X

JAK TO DAWNIEJ W KAZIMIERZU BYWAŁO

W KAZIMIERZU byłem już kilka razy. Jest to niezwykle miasteczko. Otoczone z trzech stron wzgórzami, leży w zacisznej kotlinie tuż przy ujściu niewielkiej rzeczki Grodarz. Podobno miasto założył w XIV wieku król polski Kazimierz Wielki, ale co do tego historycy nie są zgodni. Faktem jednak jest, że od tego czasu datuje się szybki rozwój miasta.

Zbudowane przez Kazimierza Wielkiego ogromne spichrze tuż nad samą rzeką, rozbudowa portu, przybycie do miasta rzemieślników i kupców — wszystko to sprawiło, że Kazimierz zaczął się liczyć jako wielkie centrum handlowe.

Wiek XV był złotym okresem dla miast polskich, a szczególnie dla tych, które leżały nad Wisłą. Król Władysław Jagiełło złamał wreszcie potęgę krzyżacką rozbijając w puch zastępy zakutych w zbroje rycerzy Zakonu w bitwie pod Grunwaldem, a zawarty w roku 1466 pokój toruński przywrócił Rzeczypospolitej Polskiej całe Pomorze.

Gdańsk wrócił do Polski. Wisła była teraz w całości w naszych rękach. Nie trzeba już było płacić ceł Krzyżakom, nasze towary płynęły naszymi barkami przez całą Polskę, aż do Bałtyku.

Kazimierz rozwijał się jak na drożdżach, zyskując coraz to nowe przywileje królewskie. Odbywały się tutaj słynne w całej Europie jarmarki, przyjeżdżają kupcy z Azji a nawet Afryki. Miasto nazywają teraz powszechnie „Małym Gdańskiem". Bogaci kupcy budują tu swoje przepysznie zdobione kamienice, a przedstawicielstwa handlowe nowe spichlerze i składy towarów. I zdawać by się mogło, że nic nie zatrzyma miasta w jego rozwoju...

Stało się jednak inaczej.

Najazd Szwedów, w latach 1655-1660, zniszczył Kazimierz doszczętnie. Bogate i pełne zboża spichlerze poszły z dymem, domy legły w gruzach, zamek górujący nad Wisłą — zburzono.

Miasto nigdy już nie powróciło do dawnej świetności. Próbowano wprawdzie coś niecoś odbudować, ale były to próby połowiczne. Wielkie fortuny kupieckie i rzemieślnicze zostały zrabowane lub wywiezione, po prostu nie było za co wznosić nowych budowli. Ostateczny upadek nastąpił z początkiem XVIII wieku, kiedy to najpierw wybuchła w mieście epidemia cholery, a w kilka lat później drugi najazd szwedzki obrócił w perzyne wszystko to co z takim trudem odbudowano...

*

WŁAŚNIE W KAZIMIERZU DOLNYM uzupełniamy paliwo. Stacja benzynowa znajduje się nad samą Wisłą. W takiej sytuacji Andrzej wydał sobie rozkaz pójścia po benzynę. Wiadomo — nie będzie musiał daleko dźwigać 20-litrowego kanistra.

Siedzę więc i pilnuję łodzi.

„Andrzej coś długo nie przychodzi. — pomyślałem — Pewnie przy stacji benzynowej jest kolejka".

Kazimierz uważany przez znawców za najpiękniejsze miasto Polski, przyciąga co roku tysiące turystów. Białe, murowane z kamienia domki, dachy kryte gontami — wszystko to sprawia, że człowiek z dużego miasta, przyzwyczajony do kurzu i ciasnoty, wielkich bloków mieszkalnych, znajduje tu spokój i odpoczynek. Rysunek wykonany specjalnie dla czytelników „Świata Młodych" przez pana Franciszka Kmitę przedstawia zabytkową studnię i rząd kamieniczek po jednej stronie kazimierzowskiego rynku.

Punktacja Igrzysk

W ogólnej punktacji Igrzysk zwyciężyła reprezentacja woj. katowickiego zdobywając 379 pkt.

II. miejsce woj. gdańskie — 377,5 pkt.
III. miejsce Warszawa - miasto — 360,5 pkt.
IV. miejsce woj. wrocławskie — 352 pkt.
V. miejsce woj. zielonogórskie — 348,5 pkt.
VI. miejsce woj. lubelskie — 313,75 pkt.

REWELACJA IGRZYSK

PRZED ZAWODAMI nikt nie znał dziewcząt z wiejskiej szkoły w Potoku Wielkim. Na Igrzyskach miały startować w piłce ręcznej. Prawdę mówiąc — miały wielką tremę. Bały się, że tylko ośmieszą się swoimi umiejętnościami. Ale oto pierwszy mecz i pierwsza wygrana i to aż 10:2. Zwycięstwo dodało im wiary we własne siły. W półfinałach stoczyły piękne pojedynki z reprezentacjami Lublina, Katowic, Rzeszowa i wszystkie wygrały zdecydowanie.

O dziewczętach z Potoku zaczęto mówić na Igrzyskach, jako o kandydatkach do złotego medalu. I rzeczywiście finał jeszcze raz potwierdził znakomite przygotowanie dziewcząt z wiejskiej szkoły. Najgroźniejsze ich rywalki — drużyna z Gdańska — zeszły z boiska pokonane 6:3.

Złote medale pojechały do Potoku Wielkiego.

Konkurencje pływackie odbywały się na nowoczesnym basenie „Avii" w Świdniku. Startowali dziewczęta i chłopcy tylko ze szkół podstawowych oraz reprezentanci NRD i Bułgarii. Zawody były niezwykle emocjonujące i obfitowały w niespodzianki. Przegrywali pewniacy — reprezentanci Polski — z mniej znanymi zawodnikami. Piękne współzawodnictwo na punkty stoczyły ekipy: wrocławska i warszawska. Ostatecznie nieznacznie zwyciężyli wrocławianie.

Na zdjęciu u góry: pierwsze medalistki na dystansie 50 m stylem dowolnym. Na najwyższym podium Mariola Głogowska z Warszawy.

Pan Kmita w swojej pracowni

Rozdział XI

Biały kapelusz pana Kmity

PRZYJECHAŁ W NIM pan Franciszek Kmita zaraz po zrobieniu dyplomu, w roku 1953. Przyjechał i... zakochał się. Ale nie w dziewczynie. Zakochał się w mieście. I to do tego stopnia, że postanowił tu zostać na stałe. Porzucił środowisko malarzy warszawskich, zostawił kolegów, przyjaciół... Wynajął jakiś stary strych i tak się zaczęło.

Zaraz drugiego dnia wyszedł na rynek w swoim białym kapeluszu, rozstawił stalugi i zaczął malować.

Dziś znają go wszyscy i on zna wszystkich. Jego obrazy wiszą w wielu prywatnych kolekcjach krajowych i zagranicznych, a ich twórca jak dawniej rozstawia stalugi na rynku, na szczycie góry Trzech Krzyży, na targowisku, w Wawozie Małachowskiego, nad Wisłą — i maluje dalej.

— Nie znudziło się panu, panie Franku, jedno i to samo? — zapytałem. — Stale ten sam Kazimierz...

— Ten sam? Co pan mówi. Kazimierz jest ciągle inny. Jednego życia ludzkiego nie starczy, żeby to miasto przenieść na płótno. Popatrz pan sam...

I pokazał mi Franek Kmita, malarz miasta Kazimierza, to, co namalował dzisiaj.

Jest właśnie targ. Przyjechały kobiety z okolicznych wsi i przywiozły peki szarych makówek, długie warkocze złotej cebuli i nie wiadomo co jeszcze. Na niewielkim targowisku tłok jak na mecie Wyścigu Pokoju. Koło nas, jak zwykle, pełno gapiów. Ludzie wymieniają uwagi, pan Kmita maluje i rozmawia z nimi. A na stalugach ten sam targ. I dopiero wtedy zauważyłem, jaki on jest kolorowy...

I nie śmiejcie się ze mnie. Wtedy właśnie, powiedziałem sobie, że dopóki nie obejrzę dokładnie całej Polski, dopóty nie wyjadę za granicę. I żal mi ludzi, którzy za ciężkie pieniądze udają się np. do Bułgarii lub Jugosławii, by siedzieć w hotelu nad morzem — a nie widzieli wschodu słońca w Tatrach, burzy na Jeziorach Mazurskich, śpiewających piasków na Pustyni Łebskiej, sztormu na Bałtyku...

I nikt mnie nie przekona, że nie mam racji.

c. d. n.

Niektóre kamieniczki mają wspaniałe fasady, przypominające frontony pałaców.

Wiślane ABC

(ciąg dalszy)

W dawnych czasach, kiedy na Wiśle aż roiło się od statków, prym wiedli tu flisacy! Za czasów króla Władysława IV było ich ponad pięć tysięcy! Prawie wszystkie wioski nad Wisłą oddawały się flisactwu i żyły z niego. Flisacy dzielili się na różne kategorie, wg. wykonywanych czynności. A więc:

● **ORYL** — chłop spełniający pomocnicze czynności na tratwie lub statku.

● **RETMAN** — płynął na małym czółnie przed koleją, czyli kilkoma tratwami powiązanymi — jedna z drugą, i wytyczał szlak zatykając w nurcie gałęzie wierzbowe. Doświadczony retman zwał się PROKOPEM.

● **SZYPER** — zwykle zajmował się wypłatą pieniędzy.

● **FRYC** — młody, niedoświadczony flisak. Frycowe zaczynali swoją pracę najczęściej pod opieką ojców-flisaków. Od tego określenia pochodzi słowo „frycowe". Nazywano tak suty poczęstunek (zwykle nad Nogatem), którym młody „fryc" musiał wkupić się w łaski doświadczonych flisaków.

KLUB nastolatków

CO NAS ŁĄCZY – CO

Rozmowy przeprowadziła ROMA JABŁO

Klub odwiedził harcerzy obozujących we wsi Glina k/Ostrowi Mazowieckiej i harcerzy, którzy rozbili namioty na obozie pod Białymstokiem.

Na obozach, z dala od miasta i szkoły — wszystko wygląda nieco inaczej. Wtedy, gdy razem się pełni nocą wartę, gdy śpi się w jednym namiocie — przyjaźń i solidarność ma nieco inny charakter.

W Klubie wiele razy dyskutowaliśmy o solidarności i przyjaźni. Dziś chcemy, razem z wami, porozmawiać o przyjaźniach zawartych na harcerskich obozach.

Przed nami jeszcze jeden miesiąc wakacji. Przez ten okres można bliżej poznać swoich rówieśników, gorącej się z nimi zaprzyjaźnić. Życzymy wam dużo słonecznych dni i zdobycia wielu, wielu nowych przyjaciół.

JESZCZE przed wyjazdem na obóz myślałem, że spotkam kolegów podobnych do tych, z którymi przyjaźnię się w szkole.

Na pierwszej obozowej zbiórce było mi smutno. Nikogo nie znałem, ale po pewnym czasie zaprzyjaźniłem się z Andrzejem. Zostaliśmy przyjaciółmi i nadal nimi będziemy. Jest to dla mnie tym cenniejsze, że na obozie wśród chłopców trudno o zgodę. Często się biją, podejrzewam nawet, że nienawidzą się wzajemnie.

Kilku chłopców jest z jednej szkoły i bez względu na to, czy mają rację, czy też nie, obstają za sobą. Stworzyli swój własny klan, który stale walczy z resztą chłopaków.

To pewnie przykre, ale kiedy wrócę z obozu do domu, nie będę wiózł ze sobą w plecaku przyjemnych wspomnień. A szkoda!!!

„BIZON"

PRZYPUŚĆMY, że na obozie mówią: „Ja nie będę się z nim bawić, ani pracować, bo on jest brzydki, piegowaty!".

Przyjaźń harcerska na tym przecież polega, aby traktować wszystkich jednakowo i nie wyróżniać: ten jest lepszy, tamten gorszy. Wygląd zewnętrzny nie może decydować o stosunku do człowieka. Nikt nie wybiera sobie przy urodzeniu twarzy, czy figury. Nikt nie jest winien że ma twarz ładną lub brzydką.

W drużynie, czy zastępie, te sprawy nie powinny w ogóle mieć miejsca.

Harcerze, to jedna wielka rodzina, której zadaniem jest bronić słabszych, pomagać im, przede wszystkim starać się, aby każdy był równy.

Napisałem ogólnie o tym, co może nas, harcerzy, połączyć w prawdziwą harcerską rodzinę, a co nam w tym przeszkadza. Na koniec dodam, że bardzo przeszkadza nam w przyjaźni to, że każdy uważa siebie za najlepszego i najmądrzejszego.

BASIA

ANIĘ znam już siedem lat. Jest ładną i zgrabną dziewczyną, ale zbytnio zarozumiałą i pewną siebie. Stąd ogromną trudność sprawiło jej nawiązanie bliższego kontaktu i zżycia się z gromadą. Dlatego często wybuchały między nią a innymi harcerkami spory i kłótnie.

Pomimo cech ujemnych lubiłam ją, szczególnie za niewyczerpany humor. Mijały obozowe dni i pomału Ania, widząc solidarność koleżanek

super sam

W TYM SĘK

Foto: J. Dąbrowski

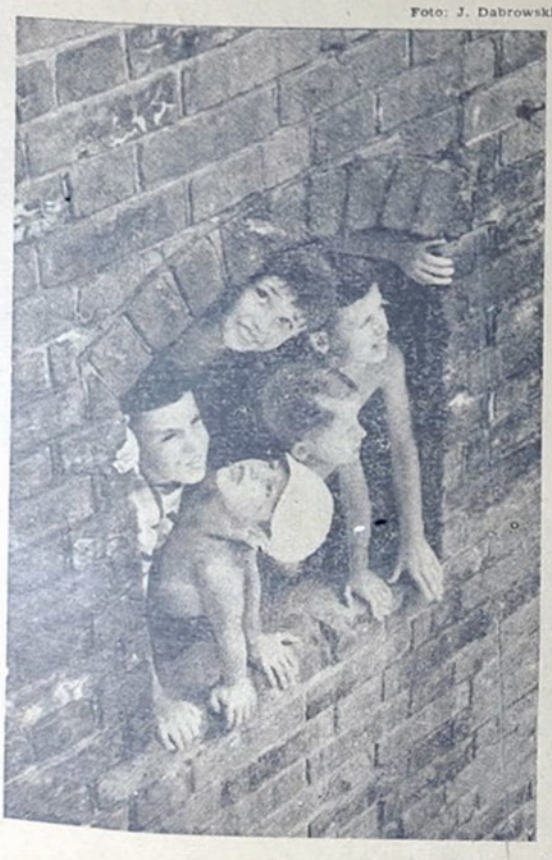

AŻ ZIELENIEJĘ ze złości na myśl, że mam pisać o tej przykrej sprawie. Wychodzę bowiem z założenia, że moi nastoletni przyjaciele powinni o tym wiedzieć bez przypominania i pouczania ich.

Otóż chodzi mi o pozostawianie po sobie „pamiątek" w miejscach, które zwiedzamy i podziwiamy z racji ich piękna, zabytkowej wartości i niepowtarzalności. Te „pamiątki", to beznadziejne napisy w rodzaju: „Tu był Jaś i Malinka. Działo się to 15 lipca" wyryte na przykład na budowli wzniesionej z kunsztownie ułożonej cegły gotyckiej lub zabytkowych murach romańskich z XII wieku.

Oczywiste jest, że to był niekulturalny Jaś i niekulturalna Małgosia i sęk w tym, że nie potrafili uszanować zabytku zniszczyli go.

O tej istotnej sprawie przypomniała nam Wanda Bielska z Dębicy, która, jak wielu innych naszych czytelników, także jest oburzona tego rodzaju wandalizmem. Dlatego właśnie piszę o tym. (bs).

SZEF SUPERSAMU

Sprawozdawca telewizyjny

CO TYDZIEŃ, w sobotę, po południu, urządzamy na kolonii konkurs na najlepszego sprawozdawcę telewizyjnego.

Nie myślcie, że nasi sprawozdawcy są nudni. Wręcz przeciwnie. Niekiedy śmiejemy się tak gwałtownie, że nasza wychowawczyni boi się, że pęknie my.

Zgłoszenia do konkursu przyjmujemy do piątku. Kiedy już wiadomo, kto będzie sprawozdawcą — specjalna komisja wymyśla temat.

Sprawozdawcy przygotowują się bardzo solidnie. Uczą się na pamięć całych zdań, aby wtedy, kiedy przyjdzie odpowiedni moment — wypowiedzieć je bez zająknienia. Bo mówić trzeba z pamięci.

Wreszcie nadchodzi sobotnie popołudnie i wszyscy zbieramy się przed namiotem najstarszej grupy chłopców, który (to znaczy namiot) z tego powodu nazwany został „telewizorem". Każdy ze sprawozdawców ma do swojej dyspozycji pięć minut.

Zaczyna się najlepsze widowisko pod słońcem. Na przykład Michał P. szczegółowo omawiał wymyślony przez siebie finisz dwóch zawodników walczących o tytuł mistrza bieżni. A zrobił to tak doskonale, jak nasz ulubiony sprawozdawca sportowy — pan Tomaszewski.

W niedzielę rano przyznaje się uroczyście dyplom najlepszemu sprawozdawcy. I specjalną nagrodę w postaci... dziesięciu pączków. (wk).

WIKTOR M.
woj. wrocławskie

NA WĘD

Na poszukiwanie skarbów wakacyjnych wyruszam z moim przyjacielem. Mam nadzieję, że spiszemy się dobrze. Ponieważ nie mieliśmy żadnego sprzętu turystycznego, zrobiliśmy go sami. A oto spis:

1. Plecak (przerobiony ze starej teczki-tornistra).

2. Manierka (zrobiona z dwóch butelek po piwie) na podstawie rysunku z powieści pt. „Kapitan Fjint" zamieszczonej ongiś w „Świecie Młodych".

NAS DZIELI?

NSKA

ich koleżeńskość, zaczęła się zmieniać. Starała się poznać bliżej każdego, pomóc w różnych sprawach. Zawsze też stawała po stronie słabszych. Może to się wydać śmieszne, ale wierzcie mi, ta dziewczyna zmieniła się na korzyść pod wpływem harcerek. Obóz przyczynił się w niej coś innego, lepszego. „SEKWANA"

NAJGORZEJ było na obozie w pierwszych dniach, kiedy nasz zastęp dopiero się tworzył. Nic o sobie nie wiedzieliśmy, nie znaliśmy się. Następne dni mijały już w przyjemniejszej i bardziej solidarnej atmosferze.

Przyznajemy, że ci, którzy nie byli solidarni otrzymywali „w godzinie duchów", odpowiednią nauczkę. Ale z drugiej strony solidarnie dzielimy między sobą paczki, które przysyłają rodzice. Pomagamy sobie we wszystkich pracach obozowych.

ZASTĘP „DZIKUSÓW"

ZASTĘP NASZ składa się z harcerek, które znały się już przed obozem, w szkole. Teraz spotkałyśmy się tutaj na wakacjach, ale w zupełnie innych warunkach. Spędzamy ze sobą całe dnie i nawet noce, bo śpimy w jednym namiocie. Bardzo zżyłyśmy się ze sobą.

W klasie łączy nas nauka, na obozie, walczymy wspólnie o najlepsze miejsce zastępu. Jesteśmy stale ze sobą i dlatego mocno łączą nas codzienne wydarzenia: przyjemności i smutki, radości i rozczarowania.

Klasa jest zżyta w inny sposób niż zastęp i zdaje mi się, że przyjaźń i solidarność na obozie ma inny smak. Przyjaźnie są tu lepsze i trwalsze, bardziej zahartowane.

BEATA

ZASADA RÓWNOŚCI, to hasło naszego zastępu. Równość i solidarność! Zawsze stajemy na gruncie, że wszyscy za jednego i jeden za wszystkich.

Kiedyś dwóch naszych harcerzy zamiast spać, porządnie „rozrabiało". Zdarzo się przecież i tak — prawda? Bywa też, że druh wyznaczy za takie postępowanie karę. No cóż, nasi koledzy musieli przebyć nocą kilka okrążeń koło namiotów. Cały zastęp dotrzymał im kroku. Kiedy, pewnego dnia, do jednego z harcerzy nie przyjechali rodzice, to podzieliliśmy się z nim solidarnie tym, co przywieźli nam nasi dorośli goście. Tak wygląda męska solidarność na obozie.

JANEK

KIEDY WIECZOREM staję w jednym szeregu na apelu, czuję, że wszyscy są mi bliscy. To samo odczuwam, gdy zapłonie nasze ognisko.

Siedzimy jeden obok drugiego, wszyscy w szarych mundurkach, złączeni czymś bardzo dobrym, czego nie potrafię określić. Te chwile nas najmocniej łączą, nic nas wtedy nie dzieli, ani nie różni.

Może wspomnienia tych chwil pozostaną nam nie tylko w pamięci, ale zapadną głęboko w serce. Tak głęboko, że zostaniemy wszyscy przyjaciółmi dla siebie i innych ludzi.

BOŻENA

Foto St. Kojło

SPECJALNY WAKACYJNY TELEFON

28 77 21

— Jest nas dwóch i się nudzimy.

— Jesteście inteligentni?

— No chyba!

— Więc zagrajcie z nami w „inteligencję".

— Na czym ta gra polega?

— Podajcie jakieś długie słowo.

— Zaraz, zaraz... tylko się zastanowimy... „nastolatek".

— Jakie rzeczowniki można zbudować z liter wyrazu „nastolatek"?

— Lato, kot, San...

— No proszę! To samo możecie zrobić z innymi dłuższymi wyrazami. Który z was w ciągu 15 minut znajdzie więcej rzeczowników — wygrywa.

★

— Przyjechali!

— Kto?

— No, oni. Harcerze z Warszawy. Rozłożyli się obozem nad jeziorem. Mieszkają w namiotach... I są bardzo weseli.

— A wy?

— My też nie jesteśmy ponurakami, ale nie wiemy, jak zacząć z nimi rozmawiać. O czym zagadać?

— Zorganizujcie drużyne sportowa i zaproponujcie im mecz. Może to być piłka ręczna, może być siatkówka a nawet zawody lekkoatletyczne. Taka propozycja zrobi na harcerzach z Warszawy mocne wrażenie. A prawdę mówiąc i oni chcieliby pewnie zawrzeć z wami znajomość...

— Myślimy, że takie rozwiązanie najbardziej nam odpowiada. Ponadto mamy własny zespół muzyczny... A harcerze też często śpiewają, mają gitarę...

— Macie w ręku pierwszorzędne atuty. Napiszcie nam o wspólnych zabawach. I jeszcze — zaproponujcie harcerzom wspólną pracę przy żniwach?

— Dobra!

★

— Mieszkamy w małej wiosce w Krakowskiem. Nikt nam nie zorganizował żadnych rozrywek w czasie wakacji. Próbujemy sami coś niecoś robić, ale... wciąż się powtarzamy.

— O czym marzycie?

— O wycieczce do Krakowa.

— Rozumiem. Zwróćcie się do Komendy Hufca w waszym powiecie. Może wam pomogą.

Dyżur pełnił:
WITOLD KAISER

Złote ręce

Jeśli lubicie lepić — poszukajcie gliny i zorganizujcie konkurs rzeźbiarski, tak jak to zrobili nasi czytelnicy z Więciawic.

Każdy ulepi dowolną figurę. Za najlepsze możecie wręczyć nagrody. Figury po konkursie radzimy wysuszyć, a potem można je dać maluchom do zabawy. (bs)

TEATR W LESIE

Ostatnio nasz teatrzyk „Teresferek" wystawił sześć kukiełkowych przedstawień o „Jasiu i Małgosi".

Nawet sobie nie wyobrażacie, w jakich trudnych warunkach pracujemy. Nie mamy pomieszczenia na kukły, w organizowaniu przedstawień nie pomagają nam starsi, a także jest bardzo mało chętnych do występowania na scenie.

Pomimo tych przeciwności, robimy, co możemy. Przedstawienia urządzamy w lesie. Do trzech sosen przyczepiamy koce, wchodzimy w ten trójkąt i tam poruszamy kukiełkami.

Muszę napisać o tym, że spotykam się z niewdzięcznością kolegów. Często przezywają mnie, bo nie mogą sobie wyobrazić, żeby chłopak trzynastoletni szył kukiełki. Tymczasem moim marzeniem jest zostać aktorem, i dlatego nie zrezygnuję ze swojego teatru. (bs)

ZDZISŁAW SUROWANIEC
ze Stalowej Woli

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 2 — przybudówka przy budynku mieszkalnym; 4 — duża ilość drewna, (gałęzi), może być atomowy; 6 — zwierzę (futro cenne); 8 — roślina dwuletnia; 9 — dopływ Renu; 10 — rzeka w zachodniej Europie, wpada do Morza Północnego, źródła w Alpach zachodnich; 11 — góry w pn. zach. Afryce; 13 — wodorost; 14 — uroczysty strój sędziów; 16 — wymiar czasu, szybkość w wykonywaniu utworu muzycznego.

PIONOWO: 1 — rzeka w Polsce; 2 — kula ziemska; 3 — czarny ptak; 4 — miejsce w teatrze, na którym występują aktorzy; 5 — utwór muzyczny; 6 — dawna miara wartości złota; 7 — bogini mądrości; 11 — minerał używany do wyrobu precyzyjnych części aparatów; 12 — pojedynczo, wykonanie utworu przez jedna osobę; 15 — ptak z rzędu strusi, zamieszkuje stepy Australii i Tasmanii.

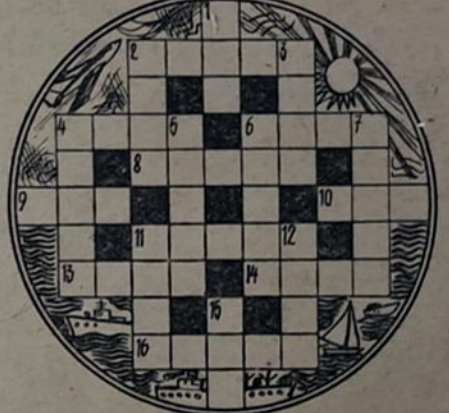

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub kartce pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

RÓWKĘ Z PLECAKIEM

3. Maszynka spirytusowa (przerobiona ze starego zepsutego prymusa).

4. Namiot (uszyty na podstawie wiadomości z książki A. Siodowego „To wcale nietrudne").

Namiot jest bardzo lekki i można go nieść w ręku lub doczepić do plecaka. W plecaku zapakowany jest sweter, kurtka przeciwdeszczowa, koszula, apteczka pierwszej pomocy, ręcznik i przybory do mycia. Mamy także konserwy rybne i mięsne, zupy błyskawiczne i dokładną mapę Polski. (bs)

„DŁUGI BILL"
z Bytomia

Rozdział X

POWIEDZ PRAWDĘ, TOMKU

NO WIĘC, JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ, Tomku? — matka mówiła spokojnie, ale po drżeniu jej palców splatających i rozplatających frędzle obrusa, Tomek poznał, że jest piekielnie zdenerwowana.

— Mówiłem już, mamo — Tomek patrzył uparcie w deski podłogi — pojechaliśmy na wycieczkę, w lesie zgubiliśmy resztę towarzystwa, potem złapała nas burza, musieliśmy się schronić przed deszczem. Dlatego wróciliśmy tak pożno.

— I to wszystko? — spytała matka.

— Wszystko.

— Jednak pani Lewandowska mówiła co innego — blade policzki matki zaczęły pokrywać się rumieńcem — widziała was przecież... razem w tej szopie...

Tomek poczuł, że brak mu tchu.

— Lewandowska to wstrętna stara plotkarka! — krzyknął z pasją — nie robiliśmy nic złego!

— Ale ona twierdzi, że całowaliście się i że... Ach, Tomku, jak mi trudno mówić o tym z tobą!

— No więc, po co mama mówi? — burknął krnąbrnie Tomek. — Jeśli mama wierzy tej wstrętnej jędzy...

— Tomku, jak ty się wyrażasz o starszej kobiecie!?

— Bo pewno! Łazi taka, wtyka wszędzie nos, węszy, a potem roznosi plotki!

Matka wyprostowała się i zapaliła papierosa. Paliła niezmiernie rzadko, przeważnie po jedzeniu, najwyżej trzy, cztery papierosy dziennie. Teraz w popielniczce piętrzył się stos niedopałków.

— Uspokój się! — powiedziała ostro. — Pani Lewandowska postąpiła słusznie. Muszę wiedzieć, co robi i z kim się zadaje mój syn. Przecież ta twoja przyjaciółka Ewa, której tak bronisz, ma najgorszą opinię w całej kamienicy!

— Ewa!? — Tomkowi aż głos się załamał z oburzenia.

— A tak, Ewa. To latawiec, kłamczuch, leń i impertynentka! Pani Koronowska nieraz się skarżyła na nią. Uczyć się nie chce, z łaski chodzi do szkoły, w domu nic nie pomoże, wiecznie tylko siedzi przed lustrem, albo włóczy się z chłopakami. I z kim ona przestaje? Przecież ta ich paczka to łobuzy spod ciemnej gwiazdy!

— Nieprawda! — uniósł się Tomek i tupnął noga. — Nieprawda!

— Tomek, nie podnoś głosu!

— A właśnie, że będę! Mama nic nie rozumie! Mamie się zdaje, że każdy, kto nie siedzi grzecznie w domu i nie trzyma się maminej spódnicy, to zaraz musi być łobuz i chuligan! A oni wcale nie są tacy źli, ja ich dobrze poznałem, ja wiem... I Ewa jest całkiem inna, niż mama sobie wyobraża...

Umilkł nagle. Matka zasłoniła twarz rękami i po drżeniu jej ramion poznał, że płacze.

— Mamo — powiedział cicho.

— Milczenie.

— Mamo, no czemu mama tak się denerwuje? Przecież ja naprawdę nic złego nie zrobiłem. Pani Lewandowska nagadała mamie bzdur, a mama uwierzyła. Naprawdę zgubiliśmy tamtych, a potem ten deszcz... mamo...

Rys. St. Rozwadowski

Matka podniosła głowę. Oczy miała pełne łez.

— Tomeczku — powiedziała drżącym głosem — proszę cię, nie zadawaj się z tą dziewczyną, to nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie.

Chwilowe wzruszenie Tomka znikło. Poczuł od nowa wzbierającą złość.

— A to dlaczego? — spytał zaczepnie — czy dlatego, że jej ojciec był robotnikiem, a mój inżynierem?

— Nie pleć głupstw! — krzyknęła matka. — Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi! I w ogóle dość tych dyskusji. Myślałam, że można z tobą rozmawiać poważnie jak z rozsądnym chłopcem. Widzę, że jeszcze nie dorosłeś do takiego traktowania. Wobec tego będę cię traktować jak smarkacza. Zabraniam ci spotykać się z tą dziewczyną i z jej kompanią, rozumiesz? Jeśli jeszcze raz dowiem się, że wysiadujesz z nimi na podwórzu, pożałujesz tego!

Tomek milczał. A więc mama tak stawia sprawę? Dobrze. Wojna to wojna. Ciekawe, co mu może zrobić, jeśli nie będzie posłuszny? Da mu w skórę? Zamknie na klucz w mieszkaniu? Śmieszne!

— Słyszałeś, co powiedziałam?

— Owszem.

— I zastosujesz się do tego? — głos matki złagodniał, nie umiała wytrwać w gniewie.

Tomek wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Patrzyli chwilę na siebie w milczeniu.

— A więc dobrze — powiedziała matka wstając — widzę, że nie dogadamy się. Zadzwonię jutro do twojego ojca, niech z tobą porozmawia. Może on potrafi ci wybić z głowy te flirty i te...

Tomek zerwał się gwałtownie przewracając krzesło i wybiegł z mieszkania. Trzasnął drzwiami i przeskakując po trzy stopnie zbiegł na dół. W bramie wpadł na Lampę.

— Do pożaru lecisz? Tomek!

Ale Tomek nie zatrzymał się. Nie chciał nikogo widzieć, z nikim rozmawiać. Chciał być sam. Biegł pędem ulicami, zdyszany zatrzymał się dopiero na Wzgórzu Partyzantów. Jego ławka była wolna.

Ile zamieszania potrafi narobić jedna wcibska baba! I co gorsze sam ją wpuścił do mieszkania. Gdyby wiedział, dlaczego chce widzieć też nieprawdą. Ewa bała się burzy grzmiało strasznie i błyskawice aż oślepiały. Trzęsła się cała, więc ją objął i uspokajał. Sam miał wstyd przyznać, dusze na ramieniu, a kiedy tak siedzieli przytuleni zrobiło się im cieplej i raźniej. Nie pocałował jej ani razu. Tylko kiedy tak strasznie huknęło... I po co takie babska pętają się po lesie i to jeszcze w czasie burzy? Powiedziała mamie, że już wcale nie padało, kiedy zobaczyła ich w szopie... I że Ewa to numer, a matka powinna pilnować Tomka, bo to porządny chłopiec, a Ewa go zdemoralizuje! I kto by pomyślał, że taka piękna wycieczka może się tak podle skończyć!

Było naprawdę pięknie. Niedziela była upalna, mama chętnie pozwoliła na wyprawę za miasto, dała kanapki na drogę, owoce, sernik... Już poprzedniego dnia umówili się, że pojadą autobusem do Jelcza, nad wodę, do lasu. Wybrali się w szóstkę, on z Ewą, Misiek, Saksofon i jeszcze jakieś dwie dziewczyny, których Tomek nie znał. Szef obiecywał, że pojedzie także, ale w ostatniej chwili nawalił, powiedział, że ma lepsze propozycje.

W autobusie Ewa siedziała zła i nadęta.

— Urwiemy się — powiedziała cicho do Tomka — nie chcę być razem z nimi.

I on wolał spędzić ten dzień tylko z Ewą. Dziewczęta przyprowadzone przez Miśka nie podobały mu się. Gadały bez przerwy, chichotały bez powodu i w ogóle zachowywały się jak idiotki! W dodatku jedna z nich, rosła tęga blondyna, miała brudną szyję.

Tomek spojrzał na Ewę. Siedziała milcząc przy oknie, wiatr rozwiewał jej lśniące włosy, biała sukienka w czerwone groszki pachniała świeżością. Obok takiej dziewczyny przyjemnie jest siedzieć. Ale jakiś czas musieli spędzić razem z całym towarzystwem. Misiek nie chciał daleko odchodzić, zatrzymali się więc przy pierwszym stawie, gdzie było urządzone kąpielisko i leżeli na trawie w potwornym upale, w pełnym słońcu. Raz po raz wskakiwali do wody i wtedy okazało się, że Ewa nie umie pływać. Tomek, który

Gang z ulicy Brzeskiej

(13)

STANISŁAWA PLATÓWNA

się z matką, byłby jej zatrzasnął drzwi przed nosem! Ale nie, wpuścił ją do pokoju, grzecznie podał krzesło, powiedział, że mama zaraz przyjdzie...

Skóra na nim cierpła, gdy stojąc pod zamkniętymi drzwiami słuchał trajkotania tej baby. Powiedziała, że byli tam w szopie całkiem sami i rozebrani. No pewno, że zdjęli ze siebie przemoczone ubrania. Sukienka Ewy była tak mokra, że trzeba ją było wykręcać, a jego koszula też wyglądała nie lepiej. Mieli siedzieć w mokrych łachach i marznąć? Ewa miała na sobie opalacz, a on kąpielówki więc co w tym złego? Przecież ludzie tak siedzą na plaży i nikt się nie gorszy. Powiedziała, że się całowali. I to

pływał świetnie, podjął się nauki. Ale Ewa bała się głębokiej wody. Wtedy odezwał się Saksofon:

— Tam dalej w lesie jest takie płytkie jeziorko, w sam raz dla odważnych.

— Chodźmy tam — poprosiła Ewa.

— Dobra — zgodził się Tomek.

Ale Misiek i Saksofon nie mieli ochoty.

— Tu jest najlepiej. Idźcie sami.

Świetnie! O to właśnie chodziło Ewie i Tomkowi. Pobiegli w las, zadowoleni, że nareszcie pozbyli się niemiłego towarzystwa.

C.d.n.

Ballady Tadeusza Chyły

BALLADY Tadeusza Chyły potrafią rozruszać i pobudzić do śmiechu największych malkontentów. Zawierają zawsze jakąś niesamowitą opowieść, czasem nawet „mrożącą krew żyłach". Ten nastrój wesela i ogólnej zabawy stwarza sam wykonawca, który owe „straszne" ballady śpiewa zwykle z rozbrajającym uśmiechem i bezradnym spokojem.

„Świat Młodych", wiedząc z licznych listów naszych czytelników, jak bardzo podoba się ten śpiewający gitarzysta, umówił się z Tadeuszem Chyłą na spotkanie i przeprowadził z nim rozmowę:

— Jak wiemy, jest pan z wykształcenia malarzem z zamiłowania zaś piosenkarzem. Która działalność bardziej panu odpowiada?

— Jedna i druga. Co prawda na malowanie mam coraz mniej czasu, ale w sierpniu nadrobię to zaniedbanie, bo wybieram się na urlop z pędzlem, farbami i sztalugami.

— A kiedy zdradził pan malowanie dla piosenki?

— Zaczęło się to jeszcze wtedy, gdy byłem studentem Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie. W pracowni malarskiej była gitara i brzdąkałem sobie nieraz. Przypadek zrządził, że właśnie wtedy Zbyszek Cybulski i Bogumił Kobiela kompletowali wśród studentów zespół do teatru „Bim-bom". Zaproponował mi, bym u nich wystąpił.

— I zaśpiewał pan swą pierwszą ballade „O złotej karocy"?

— Tak. Zawsze wspominam ten debiut z rozrzewnieniem. Może dlatego, że do tej piosenki stworzono mi całą wymyślną scenerię. Byłem wędrowcem-żebrakiem, śpiewając swą ballade chodziłem ulicami, a z okien kamienic padały do mych stóp pieniądze zawinięte w papierki. Widzowie też wtedy rzucali na scenę banknoty. Dziś, niestety, gdy śpiewam, nikt mi już nie rzuca pieniędzy.

— A co było potem?

— Potem zaprosiłem tych, co rzucali z widowni, i poszliśmy razem na piwo.

— Pytam o dalsze losy pana kariery?

— Potem to było już zupełnie zwyczajnie. Śpiewałem różne lirvczne ballady do słów Dzikowskiego, Sadowskiego, a nawet K. I. Gałczyńskiego, jak np. „Sen psa".

— Czy zawsze komponuje pan sam muzykę do wykonywanych przez siebie ballad?

— Tak. Jeszcze nie zdarzyło mi się, by mnie ktoś inny w tym zastąpił. Natomiast teksty piszą mi różni autorzy. Ostatnio najczęściej Andrzej Waligórski z Wrocławia.

— Ile ma pan w swym repertuarze ballad? I ile nagranych płyt?

— Będzie chyba ze dwadzieścia. Z płyt to tylko jedna, mała no i ostatnio long-play z 13-stoma piosenkami. Wśród nich te najmilsze dla mnie, jak „O cysorzu", „O Zenku Drepptaku", „O mumiach".

— Podobno kolekcjonuje pan gitary?

— Tak, mam już 4 sztuki. Dwie z nich to rzadkie unikaty. Jedna o 13 strunach i oryginalnym rzeźbionym gryfie, druga w kształcie lutni. Te drugą dostałem ostatnio w Opolu od nie znanych mi zupełnie ludzi. Chcę im przy okazji podziękować za ten piękny i cenny dar.

— Co pan powie na pożegnanie naszym czytelnikom, zwłaszcza tym, którzy umieją brzdąkać na gitarze i chętnie śpiewają?

— To niech brzdąkają! Niech śpiewają! To daje wiele radości. A jeszcze gdy te radość można podzielić ze słuchaczami, którzy biją brawa i domagają się bisów, to... to... naprawdę daje duża satysfakcje. Życze tym wszystkim śpiewającym i grającym, aby próbowali swych sił i nie wstydzili się wystąpić publicznie. Ja też kiedyś zdobyłem się na odwagę, by pokazać się z gitarą szerszej widowni, no i... już tak jakoś zostało.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Fot. CAF

Grzyb ma kapelusz,
lecz się nie kłania —
ty mu się kłaniaj
w dniu grzybobrania.

Czy można chodzić po suficie?

MUCHA, owszem, może. Nikt jednak nie widział człowieka w roli muchy — jest to sprzeczne z prawem grawitacji. Tymczasem na zdjęciu widzicie, że pewien pan nic sobie nie robi z praw przyrody i w najlepsze chodzi głową w dół. Tajemnica tkwi w specjalnych butach magnetycznych — wynalezionych przez francuskiego inżyniera Jean Sauchon. Pod podeszwą każdego buta znajduje się osiemnaście elektromagnesów. Mogą one udźwignąć ciężar aż 350 kg! Człowiek waży oczywiście dużo mniej, jednakże taki zapas udźwigu jest konieczny ze względu na bezpieczeństwo.

Jak się chodzi w takich butach?

Sprawa nie jest prosta. Kiedy włączy się prąd, pole elektromagnetyczne przyciska buty tak, że nie można się ruszyć. Chcąc zrobić krok do przodu, np. lewa noga, trzeba wyłączyć prąd z lewego buta. Lewa noga jest uwolniona, a cały ciężar człowieka utrzymuje prawy but. Kiedy zrobimy krok lewą nogą, włączamy ponownie prąd, a wyłączamy z prawego buta. I tak na przemian.

Gdyby przez pomyłkę wyłączyć prąd jednocześnie z obydwu butów, człowiek spadłby natychmiast jak kamień. Co prawda przed taką ewentualną pomyłką zabezpieczają liny, którymi człowiek-mucha przywiązany jest do stropu, bo spadanie nie byłoby przyjemne.

Wynalazkiem Francuza zainteresowało się wiele przedsiębiorstw budowlanych i montażowych, bowiem przy wznoszeniu stalowych konstrukcji człowiek w magnetycznych butach byłby nieoceniony.

(bor)

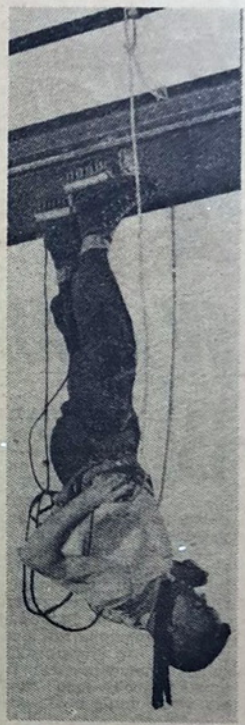

ŁODZIE Z CHOJNIC

Wytwórnia Sprzętu Sportowego w Chojnicach (woj. bydgoskie) znana jest wodniakom. Tu buduje się piękne i sprawne łodzie żaglowe, motorowe i wioślarskie. Od dwóch lat Chojnice wytwarzają sprzęt wodny z żywic poliestrowych, a obecnie rozszerzają produkcję budując łodzie plastikowe — trwałe i łatwe w konserwacji. Wyczynowe plastikowe „Finny" i „Hornety" mają najwyższe walory użytkowe. Nowością jest poliesterowa „Omega" turystyczna z małą zdejmowaną kabiną.

Prawdziwą rewelacją stała się wodowana niedawno dwupokładowa motorówka „Kormoran" wyposażona w 2 silniki o mocy 120 KM każdy. Ostatnio wyprodukowano tu też „Annę" — szybką motorówkę przeznaczoną dla ratownictwa wodnego, wyposażoną w silnik „Syreny".

Sprzęt wodny z Chojnic zdobywa sobie najwyższe uznanie.

Fot. CAF

„Świat Młodych"

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 27-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa". Warszawa ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00 kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 988. T-50

Adres redakcji: WARSZAWA ul. Mokotowska 24

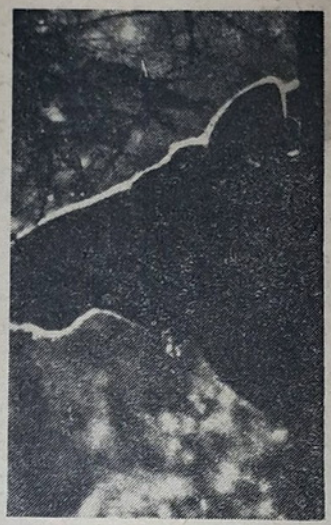

Łoś w saradeli

ŁOSIE PODPATRZYŁA ANNA GRZYBOWIECKA

BYŁA CZWARTA RANO. Słońce powoli szło w górę, ale nad łąkami i polem unosiły się jeszcze białe mgły. Od ziemi ciągnął chłód.

— W taki wczesny ranek chyba pokaża nam się łosie? — zapytałam.

Jechaliśmy polną drogą z Kozłówki, w kierunku na Kuligi i dalej w stronę Czerwonego Bagna, gdzie znajduje się rezerwat łosi. Gniadej kobyłce gajowego nie było jednak śpiesznо, toteż zanim wjechaliśmy w rajgrodzką puszczę, słońce powędrowało dostatecznie wysoko, ażeby jego promienie mogły wypić mgłę i wysuszyć rosy.

— Dopiero rano, a już taki upał! Mogą być kłopoty z łosiami — odpowiedział po chwili na moje pytanie płk. Wacław Wróblewski, leśniczy opiekujący się rezerwatem łosi.

— E, panie pułkowniku — zaprotestował gajowy — znajdziemy łosie! Albo na Czerwonym Bagnie, albo na Orlim Gruncie, spokojna głowa! Wio, gniada! — krzyknął do klaczy.

Wóz turkotał po leśnym dukcie, armia komarów atakowała nasze twarze i ręce, dobierała się do końskiej skóry. Nie pomogło smarowanie się specjalnym płynem, który pan pułkownik wyciągnął z kieszeni, żartowaliśmy więc, że w rajgrodzkiej puszczy jest bardzo dużo rzeczy na „b": bardzo dużo komarów, bardzo dużo dzików i bardzo dużo łosi.

Komary — co do tych nie można było mieć wątpliwości — ślady dzików również zauważyłam w zrytych kartofliskach pod lasem. W to, że są łosie i że jest ich według obliczeń leśników około 400, musiałam na razie wierzyć na słowo. Tymczasem gajowy wskazał mi wilczy trop, który można było dostrzec nie schodząc z wozu. Wilk maszerował sobie na kilka godzin przed nami tą samą leśną drogą...

— Wilki potrafią tak chodzić — komentował pułkownik Wróblewski — że cała zgraja pozostawia po sobie pojedynczy ślad.

— Czy dużo ich tu jest! — spytałam.

— Kilka. Niszczą zwierzynę, rozszarpały młodą klempę, dobrały się do kilku młodych łoszaków. Musimy się za nie zabrać, nie można dopuścić, aby wilki się rozmnożyły. Są bardzo inteligentne, polują z nagonką. Napędzają zwierzę w stronę, gdzie siedzą ich bracia — wilki, i dopiero wtedy napadają. Takie „polowanie" nie może się nie udać...

Czerwone Bagno i sposób bycia pana łosia

NAZWY Czerwonego Bagna nie potrafiono mi dokładnie wyjaśnić. Nadleśniczy, inż. Zygmunt Trytko, który w nadleśnictwie Rajgród pracuje od 20 lat, twierdzi, że zapewne związana jest ona z rdzawym kolorem torfu, jaki tu występuje. Na mnie Czerwone Bagno zrobiło wrażenie czegoś bajecznie egzotycznego. Nikt nie przepada za opisami przyrody, ale wyobraźcie sobie wielką przestrzeń porośniętą bujną zieloną wysoką trawą, której nigdy nie ruszyła kosa, zamknięta wysoką ścianą lasu.

Stałam na skraju bagna i czekałam, kiedy zza kępy krzaków, rozrzuconych wśród oczeretów, wysunie się długi pysk łosia z charakterystycznym frędzlem brody pod szyją.

Czerwone Bagno było jednak puste. Tylko czaple przeleciały nad naszymi głowami, kierując się w stronę swoich terenów, zwanych w rajgrodzkiej puszczy — Czaplińcem.

Podpierając się kijami w wysokich gumowych butach na nogach, szliśmy gęsiego jak „wilcy", po rozrzuconych na grzęzawiskach kładkach. Co chwilę buty ześlizgiwały się z wilgotnych bali i wtedy rozlegało się miąśnięcie błota.

Właśnie takie bagniste wilgotne leśne głusze są ulubionym miejscem łosi. Radzą sobie na nich znakomicie, tu też znajdują dużo pokarmu. Zwierzęta te, największe spośród płowej zwierzyny, wymagają bezwzględnego spokoju, chociaż potrafią przywyknąć nawet i do spotkań z ludźmi, byleby tylko ci omijali je z daleka. Ciekawe też, że bardziej płoszy zwierzęta lekki szelest skradającego się cicho człowieka, niż głośny turkot i skrzypienie chłopskiej furmanki.

Przeprawa przez kładki zabrała nam trochę czasu. Zrobiło się już zupełnie gorąco i moja nadzieja na spotkanie łosia gasła tym silniej, im mocniej przypiekało lipcowe słońce. Wreszcie poczuliśmy twardy grunt pod nogami. Byliśmy jak gdyby na wyspie, stojącej wśród bagna i porośniętej wysokim lasem.

— To Orli Grunt, tam dalej jest wodopój — wyjaśniono mi.

Cicho podeszliśmy do lustra wody. Nie trzasnęła gałązka, nie zachwiał się żaden krzaczek, ale łosi i tak nie mogliśmy spłoszyć, bo przy wodopoju ich nie było... Zostały tylko wdeptane w ziemię ślady racic. Moi przewodnicy byli niepocieszeni. Ja jeszcze bardziej..

— Ma pani pecha — zadecydowali — okropnego pecha!

„Pecha, ano zdarza się..." — pomyślałam w duchu i energicznie upolowałam dwa komary, które przypięły się do mego czoła.

— Łosie chodzą w pojedynkę — zaczął opowiadać pułkownik. — Czasami można spotkać samicę z młodymi, niekiedy towarzyszy im starszy byczek, jeszcze trzymający się matki. Tylko zimą zwierzęta łączą się w gromady, bo wtedy łatwiej im bronić się przed drapieżnikami. Młode przychodzą na świat przy końcu kwietnia lub na początku maja. Samica łosia, zwana klempą, rodzi jedno lub dwoje cieląt (łoszaków), które swoim wyglądem przypominają dorosłe łosie. Pokryte są rdzawo-czerwonym puszystym futrem i zachowują się dość niedołężnie. Na widok niebezpieczeństwa przypadają do ziemi i bez oporu pozwalają się zabrać.

Spotkanie w... saradeli

OPUŚCILIŚMY ORLI GRUNT. Objechaliśmy jeszcze szmat lasu. Kobyłka gajowego była zgrzana, my też. Nic nie pomogło chodzenie po puszczy, skradanie się po cichu pod wiatr — łosie jakby wymarły. Z wyrzutem patrzyłam na moich przewodników.

— Musiały zaszyć się w gęstwinę. Upał, komary i baki gryzą, a łosie najadły się w nocy i teraz odpoczywają. Może nawet w ciągu całego dnia nie ruszą się ze swoich kryjówek? — tłumaczyli mi.

Było południe, gdy przyjechaliśmy do obejścia gajowego. Podjedliśmy, porozmawialiśmy, oczywiście o łosiach, a o zmroku znów w drogę.

— Choćby nie wiem co, choćbyśmy mieli jeździć do północy, musi pani zobaczyć łosie! — zawziął się pan gajowy i zaraz za domem skręcił w las.

Wjechaliśmy na jakieś karczowisko, wóz podskakiwał na pniakach, to znów pod kołami chlupotało bagno. Jechaliśmy może jakieś pół godziny i znowu byliśmy na skraju lasu.

W dorodnej saradeli pasł się spokojnie dwuletni byczek z małą bródką, o pięknej ciemno-szarej sierści, jakby przetykanej srebrną nitką. Na głowie zamiast ozdoby poważnych łosi — łopat — byczek miał dwa „badyle", jak to fachowo określił pan leśniczy. Obecność niespodziewanych gości spłoszyła nieco łosia, wycofał się w żyto, ale po chwili znów wszedł na zagon saradeli i nawet chciał zaatakować konia. Krzyknęłam przestraszona, a byczek odbiegł kilkanaście kroków dalej i, podniósłszy łeb z godnością, czekał, aż wyniesiemy się z jego królestwa. Nie odjeżdżaliśmy. Zaczął więc znów zajadać swoją „zielonkę", ale co chwilę patrzył na nas uważnie. Kiedy podnosił głowę, mała bródka pod szyją zabawnie się poruszała.

Sztucer przewieszony przez ramię to raczej dekoracja. Pułkownik Wróblewski częściej niż sztucera używa... lornetki.

Przygody Tytusa, Romka i A'tomka za tydzień